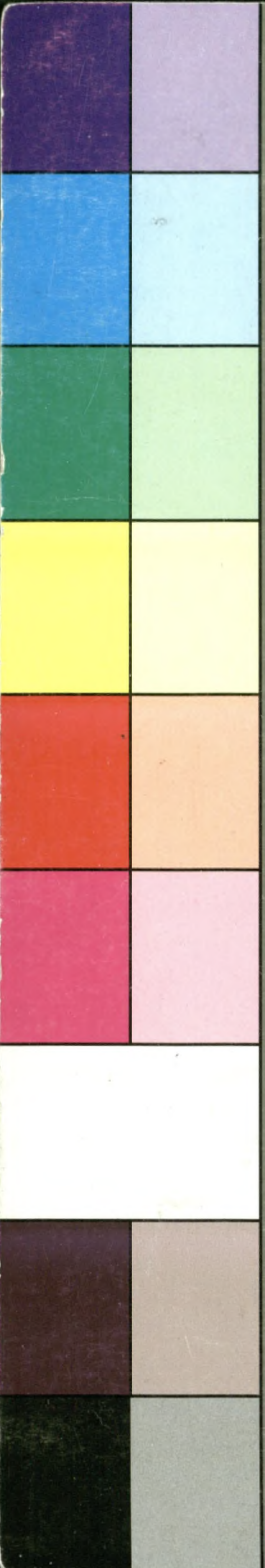


<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p style="text-align: center;">Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii „Z ponad”</p>		
<p>Ilość stron oryginału 33</p>	<p>Ilość skanów 35</p>	<p>Liczba plików publikacji 34</p>
<p>Autor Julian Przyboś, Władysław</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny Zakłady Drukarskie i Wydawnicze</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania Cieszyn (pierwodruk), Kraków (reprint)</p>	<p>Rok wydania / Data powstania marzec 1930 r./ 1988 r. (reprint)</p>	
<p>Sygnatura ---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) książka</p>	
<p>Wymiary (wys x szer) 21,4 x 19 cm</p>	<p>Stan zachowania ---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu reprint pierwodruku „Z ponad”, zawierającego utwory Juliana Przybosia z lat 1927-1930 w układzie graficznym Władysława Strzeмиńskiego; nowatorski projekt wydania wierszy w druku funkcjonalnym, służebnym wobec tekstu; pierwodruk stanowił pierwszy tom grupy „biblioteki a.r.” („artystów rewolucyjnych”), łącząc współpracę plastyki z poezją</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) lata 1927-1930, Julian Przyboś, Władysław Strzeмиński, Katarzyna Kobro, Henryk Stażewski, Jan Brzękowski, Bronisława Przyboś, Karol Wiktor Zawodziński, Cieszyn, Kraków</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuznia, letnicy itp.) poezja, literatura międzywojenna, polscy poeci okresu międzywojennego, polscy graficy okresu międzywojennego, „biblioteka a.r.”, pierwodruk, reprint</p>		
<p>Prawa autorskie ---</p>		

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black



R

G

B

Grey Scale #13

C

M

Y

K

DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



**WSZELKIE
PRAWA
ZASTRZEŻONE**

ZAKŁADY DRUKARSKIE
I WYDAWNICZE KAROLA
PROCHASKI W CIESZYNIE

copyright by julian przyboś and władysław strzemiński

BIBLIOTEKI

a.r. TOM I

cieszyn 1930

Z

PONAD

NAPISAŁ JULJAN PRZYBOŚ
UŁOŻYŁ GRAFICZNIE
WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI

j e d n i

zawieszeni na własnym wzroku,
uniósłszy ziemię,
soczewkę wieczności,
wysoko,
po linii z błękitu rozwijanej patrzeniem
wspinają się wymiary nad siebie wynosić,
toczą glob, gruboposrebrzany luną,
odplątują przestrzenie,

aż

ożył ciałami niebieskimi, obroną w męt gwiazd
na dnie

rozedmą przez szkło lunet
w pochłaniającą banię

J E D N I

DRUDZY ■ wnikają w grunt,
■ jeden zdrabniają źrenicami w pół, pół w ćwierć, ćwierć w ●●●●●

●● BOGA ●
PUNKT

jak swój dzień wywieść z obiegu?

miasto kołami woła,
 turkot zajeżdża do uszu robotników, którzy
 zarobiony dzień niosą na plecach.
 stacje ruszyły z miejsca
 wyprzedzając spóźnionych podróżnych,
 trotuar staje z jezdnią do biegu.
 kable wiją ramionami u wylomu
 dnia, którego zamała!
 z placów, porośniętych kołami, lecą
 gościńce, które inżynier przedłuża
 o rozpęd nóg zadyszanych przechodniów.
 ulicę — od rogu do rogu zalewają domy,
 domów — po dachy przybrało,
 nadmiar dzieło pod dach wyprowadza codnia.

jak zatoczyć poemat na kołach?

okolica wymknie się w mowie,
jeśli dróg nie okoli mozól.

dwie szyny położone na progach:
dwie wargi na zrównanych zdaniach,

ODDECHY: **KONIE PAROWE**

Zamiast słów użyję wozu.

Z
Ó
W

Wprzęgnawszy rampy w pomoc waszym nogom,
idziecie, przysiadając, po kraniec.

W stawach kości dźwigacie nowe kamienne stacje
pod niebo, nie wyższe od waszych podniesionych oczu.

Nasyp narósł garbem, niesionym przez was, którzy
jesteście miejscem pośpiesznem.

Uziemieni w czeluściach pracy
tunelem zbliżacie odległości, stworzone z kręceń.

Zmęczeni horyzontem, budowniczo wie podróży,
kładąc się na spoczynek ze zmierzchem,
skracacie zdobytą przestrzeń do własnego wzrostu:
ciała bez cienia granic. **I,**

stanąwszy na swej woli, przez piersi sklepiony most
jedziecie okolną mową, gdy

*Na skrzyżowaniu torów czuwam zwrotniczy ust
i z zębów, jak dymiący papieros, wypuszczam parowóz*

20 kg

TA WALIZA JEST KALETA, KTÓRA ZMIEŚCI TYLE

ILE ŁASKA

7

gdybym
ciężar opuścił
ręce ostygłyby,
ale
to — jeszcze pięć stopni, jeszcze trzy, jeszcze
jeszcze dwa — a dwa złote w kalecie umieszczę,
jeszcze dwa, a... droga się uprości
i... dwa, i... w bramę, —
dwadzieścia !!

KIEDYŻ RĘCE BĘDĄ WAŻYĆ TYLE ●●●

— I L E ?

— Ile łaska jegomości... ●●●

ILE WAŻĄ SAME



Ziemiaki


NIEBORACZKU! SZEROKO BARŁOŻY SIĘ SKOPANA ZIEMIA,
OBSIEDZONA GNOJNEMI GUZAMI CHAŁUP.
PO JEJ BOKACH WSCHÓD — ZACHÓD CODZIEŃ SIĘ ODMIENIA
I, WYTRZESZCZAJĄC SŁONECZNY BAŁUCH,
JAK KROWA, JEDYNA KLEMPA, ROZDZIAWIA GĘBULĘ PRZESTRZENI.

Z JUTRZENKI WYŁĄŻĄ WYWŁOKI TYCH PIACHÓW:
GAŁAJDY O POTĘŻNYCH KINOLACH, DZIADOWIE POCHYLENI,
BABINY, NĘDZNE SIETNIAKI, LIŻYBOŻKI Z OTWARTĄ JAPĄ.

NA RAMIONISKACH, JAK WYKRĘCONE ŁOPATKI, MOTYKI,
ALBO JAK ODDZIABNIĘTE SKRZYDEŁKA ANIOŁÓW, ŚWIECĄ.

TWARZE, RYŁA DO BICIA, WISZĄ NAD RZĘDAMI JAK SŁONECZNIKI
I KOPIĄC, RAZ WRAZ MACZAJĄ OLBRZYMIĘ WĄSISKA W POWIETRZU.

GICZALAMI PATROSZĄ GLINĘ, AŻ ICH WIECZÓR ZNUKA,
AŻ W NIEDOPEŁNIONE CEBRZYSKO RĘKUCHNĄ POKORNA
CIŚNIE KTOŚ ZACHODZĄCE SŁOŃCE Z OSTATNIĄ SWĄ BULKĄ,
I — PATRZ! — JAK ZGŁODNIALI CHŁEPTAJĄ ZORZĘ WIECZORNĄ.



Zmęczeni, spoczawszy na pośłaniu z dłoni,

c z e k a m y,

aż parujący pot z ciała nas ulotni

i poniesie na marzeniach,

aby nas położyć na rzęsach, w kołysce z dwóch powiek.

W pokojach ciszy, na podścielonych snach

o d p o c z y w a m y

u c h y l e n i p o ł o w i e,

a czyn nasz, tak cały, że obie ręce przepełniał,

przez nasze źrenice się toczy.

minuty mijają nas
i czas pełźnie w błękitie naszych oczu.

JADŁOSPIS

kelnerzy tyli powtarzając:

oo **befsztyk**
ooooo **kotlet**

oooooooooooooooooooooooooooo

WTEDY
zjadacz, zawinięty w chochlę,
nawet nie wystawiwszy z barszczu uszek
w sto jam ustnych rozkopanych widelcami
wtaczał bryły mięs,
rozszerzał się,
trząsał,
pęczniał, wypacając porami
brzuszek.

TU

BRZUCH

POPUSZCZONY W PASIE

Z CIAŁ, JAK Z DZIEŻ, WYKIPIAŁ Z POMRUKIEM,

ZALAŁ STÓŁ, —

A NA BRZUCHU ZAMIAST PĘPKA — BUKIET.

MIMOCHODEM

kto go zdoła — *naprzekór* — PRZEJŚĆ?

jedną (pobożną) ręką maca zdrowaśmaryjki,
w drugiej — czapką zaprasza mur na żebry,
z czapki wytrząsa same tylko pojęki:

CHCE JEŚĆ.

PIERWSZY — **ksiądz kanonik** (ze służącą),


potem zatroskany staruszek /z bródką/,

potem panna Tekla (BEZ CÓRKI), **PAN BRZUCHATY** (BEZ OBRAZY...)


OBESZLI GO DZIESIĘCIOMA GROSZAMI (razem).

a jemu: ze źrenicy księżyc wypadł srebrem
z pod niedomkniętych powiek
i potoczył się nierozmienioną złotówką...

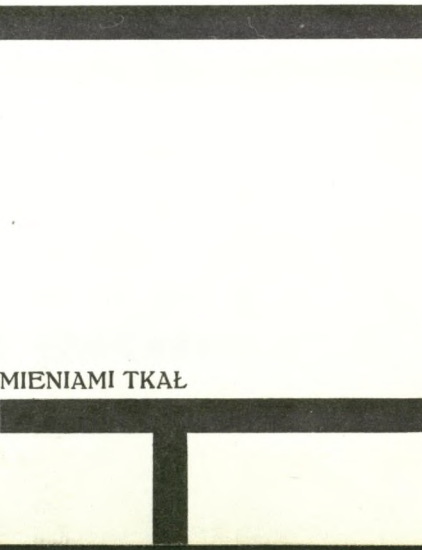
a on (Z DRUGĄ ŻRENICĄ WYCIĘKŁO MU SŁOŃCE):
wykapany człowiek

wyznawcy

na trąbie nad trąbę huczniej
grał żyd archanielski;
skryty w brodzie, mury na rozstaju płoszył.



paroch, spławiony w pierzynach, kudły łona wytrzebił z rozkoszy
i, podsadziwszy własne cielsko,
z różowych jelit odprawiał samotnie swą jutrznię
do żółtego słońca, kawałami spadającego jak...



PARCH ROZBIŁ ZORZĄ SZYBY, I ŚCIANĘ PROMIENIAMI TKAŁ

NIESIONEMI

WIATREM,

z oczyma

jak niełupki lipy...

Z DWURAMION

zasianych w budującym się

DOMU

sięgając po zwieszane owoce CZÓŁ...

W BUDOWIE

gdy

ściany obradzają JAGODAMI

SZYB

I MURAWA KAMIENI *naciera*

NA

mury...

NA ROZLEGŁEJ NIWIE BETONU,

na której

zbiegnął w krwi elektrycznej *grom...*

Z POD KÓŁ

UNOSZĄC

okrągłe

ŻYWIĘ

SPOJRZEĆ — A ZE SPŁOSZONYCH MIEJSC SAMOCHODY ROZWOŻĄ MIASTO

róg za rogiem zmyka z ulic — w plac,
który okręciwszy wkoło
gawiedź zaczyna toczyć i nieść.

co drugi słup, który się był zastał,
przerzuca się po drutach nawzajem.

przez most, nim zdążył wstać,
pędzącym kołom
gromada siebie z rąk do rąk podaje.

okna wyskoczyły z murów
w wyciągnięte ramiona par.

ZGÓRY
PO PORECZACH ZSUWAJĄ SIĘ PIĘTRA,
PODJĘTE BETONOWYM CHWYTEM
CHWIEJĄ SIĘ, NAD GŁOWAMI NIESIONE WZDŁUŻ,
GDY WTEM
OPADAJĄ NA SKRĘTACH.

**tłum
przetkał miastem swój marsz.**

SPOJRZEĆ

GMACHY

POETA,
WYKRZYKNIK ULICY.

**dwurząd bloków, rozłupany powietrzem.
masy wóółzatrzymane, z których budowniczy
uprowadzili ruch, znieruchomięte piętra.
dachy,
przerwane w skłonie.
mury,
wynikłe ściśle.
góry naładowane trudem człowieczym:**

GMACHY.

pomyśleć:
każda cegła spoczywa na wyjętej dłoni.

MURARZE!.....

mówca wieje rękami
nad zgromadzeniem:

murarze, towarzysze murarze, że!...

BRUKOWISKO PĄCZKUJE ŁBAMI,
PEKA Z WRZASKIEM DNO CZARNYCH GAŁ.
ROZDARTE OD UCHA DO UCHA

N I E!

*w przetyk światła zatkany cieniem
wpała jak suchar.*

**waszemi pięściami nabity każdy kamień!
nie trzeba bomb!**

domy kłapnęły bramami z głodu,
mur, cień złożonych rąk, od murarzy się oddarł
i przez rynek brukiem przeleciał.
ulica kamienna i chytra tłumem mówcę podejdzie, —
a on jeszcze, a on ciągle, on na przedzie:

**prowadźcie mię pod mur,
w który
biją salwami serca!**

koła zwijają SZYNY

palacz *zamieni* jedno ramię na drugie ramię.

MASZYNISTA pełną PARĄ sapie.

RĘCE płonące dziesięcioma palcami
coraz *szczelniej* nasuwa na *tłok*,
czynny,
aż powietrze promień *napiął*
aż wysnuły pierwszy **SYGNAŁ ŚWIATŁA.**

ZGASŁ

cień lampami *potrzęsnał*, —
szklane kule zaniósł się **światłem.**

bulwar, na promieniu zawieszony *ukośno*,
kołysze się w powietrzu za wiatrem.

TŁUM, *rozwiany, wyblysnął z prześroczki!*

z rozprysniętych ogni

ktos
rozjaśnia spojrzzeniami **nam—nas.**

t o -

człowieczyna z **gazowni**
podnosi wraz z **dragiem** swe oczy.

F L O R J A N

subjekt florjan

zamknął się, równocześnie z pudłem sztucznych ogni,
w sobie, odległym o trzy wspomnienia stąd.

... tramwajem — dom podbiegłby w porę,
gdyby mnie był nie ubiegł

**was śmiały, chędogi loczek na skroni:
— 30-ści płaskich, — wlot!**

... w drzwiach, — pokój jak szuflada wysunął się ku mnie
i, zanim wróci w przeciągu do okna z begonją, —
wypadnie mania

**szeł — chrypką:
— nie rozsypuj zapalek, gamoniu!
klijentów coraz tłumniej,**

loczek się jak obłok ponad nimi ulatnia...
... odplywa na dymku,
i, jakby zwoził powietrze, wyciąga ramiona, —

wpadła mania!

**klijent z loczkiem dmucha:
— zapalić!**

**florjan — półkami się wali
wdół, z dołu płomieniami bucha
i, dobiegłszy usłużnie, — w tamtych drzwiach się kłania.**

P O K Ó J

z kąta — w kąt, krokami kąty rozszerzam,
tam — napowrót, o pokój sobą kołatam,
chodzę i chodzę, aż się z pokojem rozejdę
i pójdę między ścianami a światem.

dzień zszedł na niczem, ku wieczorowi zmierzam,
może tak dojdę swego za nieboskłonem,
już — tylko patrzeć, może już tylko jeden
krok — i rękami trączę tamtą stronę.

tam, — księżyc z zewnątrz przez okno się zwiesił
i, cicho o tynk stuknąwszy, odpadł cieniem.
gwiazdy spłynęły po szybie. tam — poza —
przejdę, po śladach podłogi, spojrzeniem.

pokój, pełny światła, w sobie mnie nie zmieści,
jak on we mnie, w ciele czuję się dwukrotnie.

odejdę od siebie i zatrzyma mię groza
w niebie zaoszczędzonem w jednym oknie.

Z B Ł Y S K A W I C

ze słów, któremi szliśmy, **natchnieni**, *wierną aleją*
wynurzała się wzburzona rzeka;
mrok gęstniał w dwa równoległe brzegi, od kroków niestałe.

liczyłem **sekundy** *na drzewa, rozwahane zawieją,*
i, w gniewie,
ramieniem, *odjętem od okrzyku, wstrzymałem*
most, który się przed wzgórzem ociągał i zwlekał.

w orlim
dziobie urwiska
zawisła przestrzeń zdradzona przez burzę.

w glorii
pod uchyłoną gałęzią latarni,
SZEP CZ A C, W I O D Ł A Ś P A L C A M I *srebrne linje oddaleń,*
gdzie deszcz łamał ciemność w sztaby, zastygające w odlewie,
i gdzie bury upiór pociągu zabląkanego w sygnale
przywalony horyzontem dymił i błyskał z pod darni.

drzewiej

stamtąd szło się odległej — wąwozem,
utopionym w głębokim cieniu,
tam, gdzie z opuszczonymi ramionami ścieżyn
pustkowie rozpląkało się w brzozę.

powiew gałęzie liśćmi szeptanemi szerzył.

pnie zabłąkane w zieleni, pomimowoli
okrążając się własnymi ciałami rosły.

za potokiem rozłóg gałęził się i pieniał
i co krok było cieniściej i drzewiej.

od stóp idących świat się zagęszczał i krzewił
do nieprzebytej głuszy, skąd łąka zamierzchła
uchodziła do dolin.

zdało się: przez wzgórze które gałęzie uniosły
białonoga brzezina przeszła—

K r a j o b r a z

Zanim przejrę się w rozstajnym krajobrazie, kędy
linje wywrózonych dłoni przechyliły pagórek . . .

Droga, powtarzana kopytami, okracza wzniesienie,
widać ją, jak jedzie w uprzęży z kasztanów, przez które
przewleka dwa łby końskie, wzdłużone od pędu.

Wieczór, woźnica cienia, wzgórzami jak końmi
powozi, zatrzymując widok przed miastem zamkniętem,
poczem słońce, zwieszane nisko, u strumienia poi.

Z odjazdu wypływa na niewidzialnej łodzi
Muza tych miejsc, uwożąca ostatnie spojrzenie
z pagórka, który, ukwiecony dwiema dłońmi,
nie przepłynął widnokregu wpływ.

Gdzie tai się staw, głęboko uwikłany w trzcinnie
śniącej, jak swoje odbicie do jawy nateżyć,
i las, wyszumiały z zadumy, drzewami podchodzi
do wody, powianej światłem. staw
wynurza błękitowi księżyc.

Dalej, nad wzgórzem nieruchomem, stoi
powietrze: lustro zdmuchnięte.

ŻYJĘ, WOŁĄC

*wody stojące, jak bramy triumfalne,
głębiny pod olchami zapadłe,
kurtyny,
lana ze srebra
topiel.*

jaki rybak głuchej wodzie będzie migał słońcem,
ażebym z oniemialej wypłynęła ryba —

czarnoziem zżęty sierpniem na bujnej równinie,
role jadące do stodoły,
pagóry ziemi
w luśniach,
jak

jaki wolarz, ze ziemi wyganiając wołu,
pod górę
wywołuje —

ŚWIAT SIĘ ROZLUŻNIA
GRUNT COFA SIĘ KU DOLINOM, I TRWA I ŚPIEWA JEDYNI
NIEZERWANY OWOC POWIETRZA:
PTAK.

DESZCZ

-u okna urywa się niebo

i

**dachy zlatują na miasto,
gniazdo widnokregu.
dalej—
po powietrzu spada widok gór.**

*ze słońcem na podniesionym ręku
pole, ogromne, które nie ma ciebie,
zaszło.*

tam — dolinom w granicie moje oczy ułożyły dna,
tam — moje usta wymówiły hale,
nad którymi słyszysz mój oddech z chmur?!

TU

|

dzień stoczy się jak łąca.

WIECZÓR

te same gwiazdy

wyszeptaly wieczór, jak zwierzenie

LATARNIE WYSZŁY Z CIEMNYCH BRAM NA ULICĘ
I W POWIETRZU CICHO STANĘŁY

ZMROK ŁAGODNIE PRZEMIENIA PRZESTRZENIE

ogrody opuściły swoje drzewa,
szare domki z nad rzeki — spłynęły

w niskich brzegach wśród olch płynie żal.

TYLKO HORYZONT UCHYLA NIEBA
KSIĘŻYCEM
I DROGA DŁUGO WIEDZIE WE WSPOMNIENIE

I TWOJE DŁONIE SIEJĄ MIĘDZY NAMI DAL.

pulsuje źródło twojej głowy-szczęśliwej.

WEZBRANY *SPEYWAM* do gęstwiny *tulących się* linii,
do łona,

które miękki puch, jak wieczór wśród oazy, ściemnia
i rozwarłe biodra — biodrom pragnącym wyściela
na opuszony sen ud.

PĘYNNEMI DŁOŃMI ROZSNUWAM TWOJĄ NAGOŚĆ
NA MOJEM OBNAŻONEM CIELE.

i nim
świt
odsłoni twe nogi —

od kolan ciało jak delta odpływa
do stóp uwieńczonych ziemią

navialo nocu i gwiazd, uderzających o SZCZYT.

N O C

27

z gór, odartych z KSIĘZYCA, rozkosz spadania, JAK BALON nadymany w wicherze
dławiącym kołysem
w dół rozkopany **W** ŻWIRZE,^{znosi}
jak tono ROZDARTE fallusem.

MIKOŚĆ jak przepaść **PRZERAŻA.**
W rozbitej czaszce **drgnął** BÓL jak plód cięży.

NA twojej trumnie, jak ŁOPATĘ GRABARZA,
kładę
dłoń rozpostartą: **KSIĘZYC**

spokojniej było umierać
na krzyżu z brązu, wbitym na piersi własnej.

gdy, **w wiatach** DZIESIĘCIU *bateryj,*
 OBSYPANI różami wystrzałów, *biegliśmy w ataku* **NA KRASNE.**

świt ogień artyleryjski, *jak okno błyskawic, otwierał,*
szarapnelami krążyło **niebo,** *wybuchający* **zmartwychwstaniem** **GRÓB.**

w aureoli hełmu, skrwawioną szarfą tyraljery
OWITY
wyprężył się u moich butów twój odznaczony trup.

przyjacielu, na mojej sławie poległy.

samotniej

o dziesięć lat, w groźnej ciszy ubiegłych,
dzierzę swą śmierć, jak nabity karabin, w dłoni.

PARADA

S'MIERCI

G W I A Z D Y

wieszcz rąk, robotnik dumy, wywyższam się spojrzaniem
pod gwiazdy, ucisk gwiazd prawe ramię mi żłobi,
niebo nawisło hełmem, niebo porywan na ciemię,
i noc, wzniesioną z gwiazd, podnoszę na sobie.

wielki, w pokłonie nizin, odmurowany z kamienic,
wśród tłoku niemej ziemi zewsząd, na braku domu,
patrzę, w oczach dzierganych przez cienie
drzewa drgnęły: rosna widomie.

SPIS RZECZY

<i>1</i>	<i>4</i>
<i>na kołach</i>	<i>5</i>
<i>wóz</i>	<i>6</i>
<i>20 kg</i>	<i>7</i>
<i>ziemniaki</i>	<i>8</i>
<i>zmęczeni</i>	<i>9</i>
<i>jadłospis</i>	<i>10</i>
<i>mimochodem</i>	<i>11</i>
<i>wyznacocy</i>	<i>12</i>
<i>w budowie</i>	<i>13</i>
<i>spojrzeć</i>	<i>14</i>
<i>gmachy</i>	<i>15</i>
<i>murarze!...</i>	<i>16</i>
<i>światła</i>	<i>17</i>
<i>storjan</i>	<i>18</i>
<i>pokój</i>	<i>19</i>
<i>z błyskawic</i>	<i>20</i>
<i>drzewiej</i>	<i>21</i>
<i>krajobraz</i>	<i>22</i>
<i>żyje, wołać</i>	<i>23</i>
<i>deszcz</i>	<i>24</i>
<i>wieczór</i>	<i>25</i>
<i>świt</i>	<i>26</i>
<i>noc</i>	<i>27</i>
<i>parada śmierci</i>	<i>28</i>
<i>gwiazdy</i>	<i>29</i>

Od wydawcy

Reprint pierwodruku *Z ponad* (marzec 1930), zawierającego utwory Juliana Przybosa z lat 1927—1929. Koszty wydania pokrył autor, wówczas profesor gimnazjum w Cieszynie: 1978 zł za 400 egz. Cena sprzedaży książki wynosiła zł 6.

Okładka i tekst pierwodruku na białym błyszczącym kartonie (21,5×19 cm); grafika na okładce w pięciu kolorach: czarnym, czerwonym, żółtym, niebieskim, srebrnym (pierwsze „e” w słowie „poezje”, linia pionowa, litera „j” w imieniu poety oraz litera „r” i znak diakrytyczny w jego nazwisku); karty, spięte pionowo (od str. 3 do 30) dwiema metalowymi zszywkami, obejmuje okładka przyklejona do grzbietu książki oraz do str. 3 i 30 pasem szer. 0,8 cm.

Był to pierwszy tom «biblioteki „a.r.”» („artystów rewolucyjnych”, grupy, do której należeli malarze: Katarzyna Kobro, Henryk Stażewski, Władysław Strzemiński, oraz poeci: Julian Przyboś i Jan Brzękowski). Projekt wydania wierszy Przybosia w druku funkcjonalnym, służebnym wobec tekstu, wyszedł od Strzemińskiego, który pracował nad graficzną realizacją projektu od września 1929 do stycznia 1930 (wiersze *ziemniaki* i *zmęczeni* opracowała Katarzyna Kobro).

Do tomiku *Z ponad* dołączano dwustronicową ulotkę: *komunikat grupy „a.r.”*, z programem artystów. Przyboś i Strzemiński pisali tam m.in.: «„a.r.” łączy współpracą plastykę z poezją. Stawia zagadnienia nowej sztuki w jej całej rozciągłości, zamiast dotychczasowego nowatorstwa w jednej jakiegokolwiek dziedzinie sztuki, i jednocześnie kompromisowości i ignorancji w drugiej, skutkiem czego obraz dnia dzisiejszego wypadł ciasny i fałszywy».

Pierwodruk *Z ponad* stanowi niewątpliwie jedno z najoryginalniejszych osiągnięć w dziejach książki polskiej. Tak też przez pewien czas sądził Julian Przyboś i cieszył się z tego. Ale później zmienił zdanie: „Jedyna moja ścisła współpraca z plastykiem w tomie *Sponad* — okazała się chybiona. Układ graficzny Strzemińskiego wierszom raczej zaszkodził, zaciemniając je często i irytując czytelników” (z listu do K.W. Zawodzińskiego, Cieszyn 26 XII 1933).

Za podstawę reprintu posłużył egzemplarz (własność Bronisławy Przybosiowej) z własnoręczną poprawką poety na str. 4.

W obecnym wydaniu ze względów technicznych dodano 4 nieliczbowane strony, na których zamieszczono tekst od wydawcy i metryczkę, a karty zszyto niemi, zamiast spiąć zszywkami metalowymi.

Wydawnictwo Literackie,
Kraków 1988

Wyd. I

Nakład 20 000+350 egz.

Ark. wyd. 1. Ark. druk. 2

Filmy: Drukarnia Wydawnicza

im. W. L. Anczyca,

Kraków, ul. Wadowicka 8

Druk i oprawa:


Bielskie Zakłady Graficzne,

Bielsko-Biała, ul. Grunwaldzka 6

Zam. nr 977/88 D-10-162

tegoż

autora:



ŚRUBY — POEZJE 1925 NAKŁ. ZWROTNICY
OBURĄCZ — POEZJE 1926 NAKŁ. ZWROTNICY

